GRZEGORZ BARTOS

NIGDZIE TERAZ, TERAZ TUTAJ

punkowa dusza
na warszawskim bazarze



NIGDZIE TERAZ, TERAZ TUTAJ

GRZEGORZ BARTOS

NIGDZIE TERAZ, TERAZ TUTAJ

punkowa dusza na warszawskim bazarze

Jirafa Roja
Warszawa 2015

© Copyright by Jirafa Roja, 2015
© Copyright by Grzegorz Bartos, 2015

Zdjęcie na okładce: Che (Wiki Commons)
Zdjęcia autora: Piotr Czyż
Korekta i redakcja: Adam Mrówczyk
Łamanie: TYPO 2



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Józefa A. i Andrzeja S. Załuskich
w Radomiu

ISBN 978-83-63879-47-1

Wydanie I
Warszawa 2015



www.jirafaroja.pl

INTRO

Wchodzę w krajobraz po bitwie, pomiędzy spalone i poprzewracane bazarowe budy.

Dookoła zgliszcza, sterty kartonów, żelazne elementy „szczęk" i stelaży. Dalej maź rozdeptanych warzyw i owoców, strzępy ubrań i zasłon, sprzętu elektronicznego i Bóg wie co jeszcze, bajzel ze sklepu „wszystko za złotówkę", a nawet wrak starego żuka handlarzy jabłek i żółta budka telefoniczna bez szyb. Pod budami poniewierają się kartony skitranych przez Ormian papierosów, ohydnych faj o nazwie Classic, które paliła jedynie biedota osiedlowa, pijacy i emeryci, którym pozwalały na to żony na tyle cwane aby trzymać łapę na skromnym budżecie. Wszystkie te stare babcie, które płaciły u mnie większość swych rachunków, co to posiadły mądrość, że skoro mężów nie zabiło tyle lat

palenia, najgorsze ścierwo również ich nie wykończy. Na coś trzeba umrzeć – mawiały, na coś, tak, trzeba umrzeć, choć niektóre najwyraźniej nie mogły. Nie było już wielu bazarów, nie było „stadionu", a one wciąż dreptały po warszawskich chodnikach.

Zrywam policyjną taśmę i przechodząc alejką, która była moją alejką przez ostanie dwa lata, wiążę miejsca nie ze sklepowym asortymentem, ale z ludźmi. Nieważne, że damskie fryzjerki zmieniały się co pół roku. Mijając zakład fryzjerski myślę właśnie o jednej z nich, która zaszła w ciążę i jej ponętny kuper stał się dwakroć bardziej ponętny. Z kolei obuwniczy był dla mnie emanacją Lucjana, przez którego często myślałem, jak to jest sprzedawać buty przez całe życie i naprawdę przypominał fizycznie Ala Bundy'ego ze „Świata według Bundych". Dalej była pasmanteria Czesława, którego synowie byli kibicami Legii i mojito. Chemia Zbigniewa, odstręczającego alkoholika, klasycznego pięćdziesięciolatka, który twierdził, że zdał rok wcześniej test sprawnościowy do policji z najlepszym wynikiem, ale nie wiedzieć czemu go nie przyjęli. Dalej mydło i powidło Karema, Ormiańca z porażającą blizną przez całe gardło. Meble Zdzisława, chama, który najbardziej z nich wszystkich chciał być totolotkowym milionerem i powiedział mi, że gdy któregoś dnia wygra, to mnie uwolni od mojego sklepu – i zrobi swoim kierowcą! Bar wyznawczyni Jehowy, która kiedyś zatruła cały bazar świątecznym tradycyjnym bigosem

z pieczarkami. Ciuchy starej Wietnamki, która tak źle mówiła po polsku, że gdy przyszła zapytać o „miejsce" na bazarze, wszyscy zrozumieli, że pyta o „mięso", zatem wysłali ją do drugiej alei, gdzie były tylko stoiska z wieprzowiną i kurczakami, przez co załamana chodziła między nimi, kręciła głową i płakała: ajajaj! Jej brat był podejrzanym typem, którego Witek swoim paranoicznym zmysłem uznał za agenta wietnamskiej bezpieki, ale o Witku nie chcę teraz myśleć. Jeszcze nie. Były też dwie męskie fryzjerki i pokręcona krawcowa, skórzane kurtki, karma dla psa i kota, a wszystko miało swoją twarz – cycatej blondynki bądź małego Ormiańca, którego nazywali Krzyś i którego żona była od niego pięć razy większa, a mimo to można było pomyśleć, że dwadzieścia lat temu była najpiękniejszą kobietą na wsi, z której przybyli. Dalej wietnamski krawiec i naprawa rowerów, garnitury i ryby, galanteria i meble, wszystko ze swoją twarzą, czy to opalonego cwaniaka, czy mistrzyni krzyżówek, absolutnej szczęściary, która wygrywała każdy konkurs, w jakim brała udział.

Boję się podejść do miejsca, które było mi przypisane, dlatego zatrzymuję się naprzeciw, na pustym placu po piekarni tłustej flądry, która paliła jak smok, miała beznadziejne amatorskie tatuaże, niemal żadnych zębów, za to wyrok na koncie, brata kryminalistę, troje dzieci, właściwie to sama już była babcią, a mimo to była namiętna w rozmiarze XXXL. Miała męża i dwóch kochanków – kiedyś to odkryłem, widząc

z ukrycia jak migdali się z jednym z nich w piekarni, oparta plecami o półki z razowym chlebem. Mój Boże, naprawdę byłem zdumiony.

Nie chcę jeszcze myśleć o swoich klientach. Jak sobie poradzą bez bazaru? Beze mnie, który organizował bardzo ważną część ich życia? Czy ja miałem dla nich jakiekolwiek znaczenie? Czy człowiek może mieć znaczenie?

Właśnie! Jakie było tutaj moje miejsce? Jaka była moja twarz?

Ruszam dalej i nagle staję, bo oto dotarłem do placu po „szczękach" Omara. Dokładnie tam, gdzie na samym końcu leżał trup afrykańskiego „handlarza".

***

DODO

Wyobraźcie sobie ptaka dodo, który postanowił zostać człowiekiem. To była właśnie ona. Człowiek dodo.

Przechadza się dostojnym krokiem wzdłuż alei i za każdym razem mijając mój sklep, zapuszcza ukradkiem żurawia przez żaluzje, za którymi się ukrywam, całkiem załamany. Dodo zapuszcza żurawia.

Nie wiedzieć czemu, człowiek dodo ma na nogach modne na ten czas gumowe kalosze, które pasują jej równie dobrze, jak sutanna hydraulikowi.

Koty wyłażą spod szaf i kłębią się dookoła, tak że mogę słyszeć niemal ich gardłowy mruk, jakby domagały się ode mnie mleka albo raczej jakiegoś syfu w płynie.

Nie mam pojęcia, jak sobie poradzić z tym stadem, skoro włączając odkurzacz za każdym razem powoduję

wybicie bezpieczników. Konserwator z bazaru, starszy jegomość z wąsami, mały i pękaty, kiedy się skarżę bierze drabinę, podstawia ją pod ścianą i pnie się do skrzynki z bezpiecznikami, pod nosem komentując, kto i na co może mu skoczyć i po kiego wała na targowisku tyle sprzętu komputerowego, o kasie fiskalnej nie wspominając.

Rację ma, bo też z rekonesansu, którego dokonałem kilka dni wcześniej, nie przyznając się do niczego, w ukryciu, niby glina *undercover,* wyszło mi, że kasy fiskalne są bodajże w dwóch sklepach i nigdzie więcej.

A u mnie? Komputer. Kasa fiskalna. Terminal lotto. Terminal kart płatniczych – na szczęście nie działa. Żoliborskie staruchy nie płacą kartą. Czajnik elektryczny i grzejnik. Pod sufitem kamera – oczywiście też nie działa. Odstraszać ma. Nie wiem, czy odstrasza. Kradną pewnie i tak, tylko że nie ma potem jak sprawdzić, bo jak przejrzeć taśmy z kamery, która jest atrapą?

Ja też jestem atrapą.

Sprzedawcy.

– Ty, Grzegorz, patrz, ktoś siedzi na twojej cholernej skrzynce! – woła Witek.

– Znowu – jęczę w duchu. – *I hate people*.

Żółta skrzynka też jęczy, pod gigantycznym, dwustukilowym grubasem. Jego również już znam. Często tu przysiada, bo trudno o lepszy przystanek na drodze od kładki po Marymont. Czasem jest rozchełstany, widać, że pije i że może pić, a czasem znów elegancki

snuje się po chodniku z potężnym aparatem fotograficznym.

– Magazynował tłuszcz na zimę stulecia, ale nie zauważył, że się zmieniła strefa klimatyczna – komentuje Witek, pisarz i reżyser filmowy, który wpada do mnie na długie godziny i puszy się za każdym razem, kiedy Marylka ze straganu naprzeciw chwali jego grecki profil.

Dodo znów wsadza swój wścibski nos w szybę, próbując między opuszczonymi żaluzjami dostrzec, co też znajduje się na półkach sklepu. Na razie niewiele tego, ale dostawcy z Firmy podjeżdżają co dwie, trzy godziny i zostawiają mi paki wraz z fakturami, do których rozpakowania zabieram się mozolnie, bez wielkich chęci.

Bo też kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten swój sklep, to miałem chęć odwrócić się na pięcie i uciec. Zrozumiałem wreszcie, dlaczego menadżer z Firmy, kiedy umawialiśmy franczyzę znikał jak najszybciej się dało. Kilka zdań, tu podpis, tu podpis, raz zapomniał kluczy, drugim razem było już za późno i na bazarze wyłączyli prąd, i tak zeszło, że po raz pierwszy przekroczyłem próg sklepu już z podpisaną umową najmu, bez możliwości wycofania.

To, co tam zastałem… Jakby kiosk w centralnym punkcie Powstania Warszawskiego. Zgliszcza i syf. Cztery metry kwadratowe syfu. Opakowane w blachę z drewnianą, dziurawą podłogą. Zardzewiałe stelaże, wygięte półki, zszarzała pleksiglasowa osłona

i jarzeniówki, gołe jarzeniówki pod sufitem. Zeszło mi dobrych kilkanaście godzin, żeby dojść z tym do ładu, a i tak efekt był niewiele lepszy.

Mój sklep to też atrapa.

Trafika, dobre sobie.

– Patrz, Grzegorz, patrz tutaj! – woła Witek i rozpościera mi przed nosem płachtę drukowanej na brudnoszarym papierze Oferty. Nie mogąc się doczekać aż znajdę o co mu chodzi, sam wciska palec w ogłoszenie i czyta:

– Pracownik biurowy! Słuchaj dalej. Pracownik biurowy! Zatrudnię zabójcę, który zabije mojego męża, zapłacę zaliczkę w wysokości 70 tys. złotych, a po robocie 330 tysięcy, dam dane kiedy wraca do domu, jak się ubiera, mogę też dać broń (myśliwską). Warszawa, telefon… Dzwonimy?

Z niedowierzaniem sięgam po gazetę. Faktycznie, stoi jak byk. Zatrudnię zabójcę i jeszcze dam broń myśliwską.

– Czy to byłoby dużo, 400 tysięcy? – zastanawia się Witek. – Ile by dała twoja żona za ciebie? Moja raczej by nie dała czterysta. Dzwoń, Grzegorz, sprawdzimy.

Posłusznie wystukuję numer na komórce. Nieaktywny.

– Żart – mówię, ale Witek kręci głową.

– Za późno zadzwoniliśmy – mówi. Z refleksją dodaje: – Oto nasza rzeczywistość, Grzegorz. Samotność i pożądanie.

Milknie, rzuca gazetę na stojak i wychodzi na próg. Zapala papierosa bez słowa i nie odzywa się już tego dnia ani razu.

Witek przychodzi coraz częściej. Miarą jego sympatii jest osiem godzin dziennie na bazarze. Spędzam z nim więcej czasu niż kiedykolwiek spędzałem z rodziną. Znacznie więcej. Przychodzi dwie, trzy godziny po otwarciu i siedzi do zamknięcia. A teraz milczy.

Gazety, książki, tytonie i papierosy, mydło i powidło, karty telefoniczne, baterie, akcesoria, kondomy, napoje, namiastka chemii i słodycze. Z czasem Firma wstawia mi tak absurdalny towar jak żele dla młodych mężczyzn, prowadzących sportowy tryb życia. Akurat tutaj nie widziałem takich przez dwa lata. Wysokie obroty zapewnia mi możliwość przyjmowania rachunków, sprzedaż doładowań do telefonów i totalizator, który mogę prowadzić, zaliczywszy najpierw śmieszny kurs w siedzibie Totalizatora na Targowej.

Z czasem, z nudów wciągam się w czytanie wszystkiego, co leży na półkach z prasą. Zaczynam od dzienników drukowanych na najgorszym papierze, przechodzę przez kolorowe tygodniki, których łamy zapełniono plotkami z życia gwiazd i kulinariami, później sięgam po miesięczniki, z nadzieją, że znajdę w nich coś, cokolwiek, co by mi mogło się przydać w przyszłości (choć powoli przestaję wierzyć, że będzie przyszłość) i wszystkie te specjalistyczne pisma,

z których można się dowiedzieć, kto ma najwięcej miliardów na koncie, jak też dlaczego hiszpańska mucha nazywana jest hiszpańska. Erotyki na ogół zostawiam na późne popołudnie, kiedy na targowisku nie ma już nikogo, ani sprzedawców, ani klientów, tylko ja, bo nie wiedzieć czemu takich godzin otwarcia zażądali w Firmie i czasem sprawdzają, czy siedzę w środku. Siedzę, przeglądam pisma porno albo tygodniki opinii, bo również nie wiadomo czemu, opinie pozwalam sobie kształtować późnym popołudniem.

Szybko zdaję sobie sprawę z tego, że ci, którzy produkują całe te sterty prasy, jak też ci, którzy są bohaterami jej zawartości, doskonale wiedzą, że biorą udział w czymś, co jest wielką ustawką. Raz głupszą, raz solidniejszą, mniej lub bardziej markowaną, ale – zabawą.

Niestety, równie szybko zorientowałem się, że czytający nie mają za grosz takiej świadomości.

Czego tam nie ma? Do moich ulubionych tytułów, oczywiście oprócz małego pisemka porno, w którym co miesiąc znajduje się kilkaset ogłoszeń zawierających raczej zabawny opis osoby i zdjęcia, amatorski portret cipki, tyłka, cycków lub – co odrażające – fiuta, należą przede wszystkim dwa dzienniki, w których wszystko jest ekstremalne, przejaskrawione, gdzie relacja z pielgrzymki papieża do Polski sąsiaduje z ekstracyckami miesiąca marca, a małpa z mózgiem przebitym gwoździem ma takie samo prawo do publicznej inwokacji,